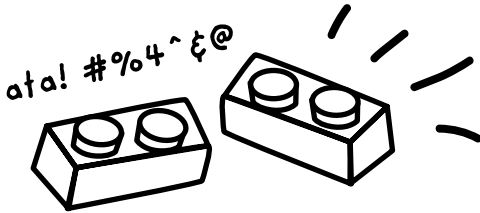


ZUZA SKRZYŃSKA

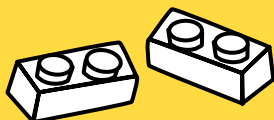


KUWOŚĆ LOSU

The title 'KUWOŚĆ LOSU' is written in large, bold, black letters. A handprint is integrated into the letter 'U' in 'KUWOŚĆ'. A pair of underwear with a heart on the front is hanging from the letter 'O' in 'LOSU'. Below the title is a yellow brushstroke banner containing the text 'W RODZICIELSTWIE'.

O sytuacjach,
w których nie wiadomo,
czy się śmiać, czy płakać

WSTĘP



Kim jestem i dlaczego
napisałam tę książkę

Nazywam się Zuza Skrzyńska. Teraz, kiedy to piszę, mam jeszcze dwadzieścia dziewięć lat. Jeszcze, bo zaraz stuknie mi trzydziestka. Czas rozważań, podsumowań, planów na to, jak przeżyć resztę życia. Nic więc dziwnego, że i mnie się to udzieliło. Zwłaszcza że jako przedszkolak byłam przekonana, iż w wieku lat trzydziestu przechodzi się na emeryturę, a na pewno rezerwuje już własne miejsce na cmentarzu.

Będąc w tym miejscu życia, w którym jestem teraz, jako mama dwójki małych dzieci, żona mojego męża i pańcia włochatego psa rasy border collie, potrafię spojrzeć na swoją egzystencję z nieco większym niż kiedyś dystansem. Na te wszystkie niepowodzenia, fatalne zrządzania losu, dziwne sytuacje i zdarzenia, które przytrafiają się innym niesamowicie rzadko. Podczas gdy w moim

przypadku stanowią jakieś dziewięćdziesiąt procent wszystkiego, co przeżyłam i nadal przeżywam. No dobra, może osiemdziesiąt dziewięć.

Kiedyś czułam się jak totalny frajer. Wiecie, zupełnie jakbym była trzecim bohaterem w filmie *Głupi i głupszy* – tym najgłupszym. W myślach nazywałam siebie nieporadną, histeryczną (w końcu inni ludzie nie przeżywają tak mocno i nie „histeryzują” jak ja), roztrzepaną. Przyciągającą pecha. Wierzcie mi, że jeśli coś komuś może się spierdolić, to spierdoli się właśnie mnie. Wszak nie da się oszukać przeznaczenia.

Jeśli zapytalibyście mojego męża, jak mu się ze mną żyje, to z pewnością nie narzekałby na nudę. To ja jestem tą osobą, która walczy o życie, idąc z garnkiem pełnym starej zupy w stronę toalety, żeby nieco przyschnięte już ziemniaczki wraz z pozostałościami mętnego płynu wylać do muszli klozetowej. To ja, w ułamku sekundy, potykam się o własną stopę. Tym razem mi się udało. Nie zaliczyłam gleby i nie wylałam na siebie cuchnącej zawartości garnka. Jednakże, jak zwykle, przeżyłam mikrozawał. A może nawet całą ich serię. Musiałam potem odpoczywać przez jakieś pół godziny, żeby dojść do siebie.

To również ja jestem tym człowiekiem, który pracując w agencji reklamowej, tuż przed spotkaniem z ważnym klientem, postanawia

obrać pomarańczę jedynym ostrym nożem, jaki pozostał w biurowej kuchni. Tasakiem. Kilka godzin i milion mililitrów rozlanej krwi później dwóch śmiejących się pod nosem chirurgów przyszywało na miejsce odcięty opuszek mojego wskazującego palca. Oł, dwanaście szwów. Każdemu się mogło zdarzyć!

To ja wciąż zapominam zabrać ze sobą kluczy od mieszkania, to mnie wiecznie rozładowuje się telefon. Najczęściej wtedy, gdy pilnie potrzebuję zadzwonić. Kiedy jestem w totalnej rozsypce i rozmazanym makijażu, rośnie szansa na to, że na przystanku autobusowym czy w Auchan spotkam kogoś z moich byłych chłopaków. I zamiast wyglądać jak budzący ukłucie w sercu milion dolarów, wyglądam jak „całe szczęście, że cię kiedyś zostawiłem”.

To mnie gołęb sra na głowę przed rozmową o pracę. To ja wyrzucam do śmietnika sto złotych, podczas gdy chciałam wyrzucić paragon, a gdy przychodzi moja kolej usypiania dzieci, przeżywają akurat najgorsze chwile w swoim życiu i za cholerę nie mogą zamknąć oczu. ZA CHOLERĘ!

A wszystko (tak myślę) zaczęło się, gdy postanowiłam „zniknąć” mojego chomika. Miałam kilka lat i bardzo imponowały mi sztuczki iluzjonisty, Davida Copperfielda, których naoglądałam się wówczas w telewizji. Jedna z nich polegała na „znikaniu” królika. David kładł na białym króliku poduszkę. Następnie siadał na niej, liczył

do trzech czy tam do dziesięciu i królik zniknął. Myślę, że sami odpowiecie sobie na pytanie, czy ta sztuczka powiodła się w moim wykonaniu przy asyście chomika syryjskiego o imieniu Czarus.

Rozczarowanie, które wtedy czułam, pamiętam do dziś. Byłam przekonana, że tylko mnie spotykają takie niepowodzenia. Nieszczęścia. Pech, kurwa, wrodzony. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak to się nazywa. Dopiero gdy zostałam mamą, odkryłam, że to kurwość losu. Że inaczej nie da się tego określić, nazwać czy wyjaśnić.

Wtedy poczułam też, że nie tylko ja tak mam! Nie tylko moje dzieci robią symultanicznie kupę w momencie, w którym przekraczamy próg mieszkania, po godzinnej próbie ubrania dwójki maluchów tak, żeby to drugie nie zaczęło się rozbierać, kiedy to pierwsze już się grzeje w kurtce i rękawiczkach na pięć palców (swoją drogą ten, kto wymyślił takie rękawiczki dla kilkulatków, powinien się smażyć w piekle).

Nie tylko ja wybiegam mokra spod prysznicza tuż po tym, gdy jak zwykle w chwili, w której nakładam szampon na włosy, słyszę rozdzierający wrzask niemowlaka. I nie tylko mnie kurier robi psikus, nie czytając bardzo ważnej adnotacji dodanej w uwagach przy zamawianiu przesyłki: „PROSZĘ NIE DZWONIĆ DZWONKIEM DO DRZWI. DZIECI ŚPIĄ. TO JEDYNY CZAS W CIĄGU DNIA,

KIEDY MOGĘ USIAŚĆ NA TYŁKU. PROSZĘ NIE ODBIERAĆ MI TEJ MOŻLIWOŚCI!". Zapewne już wiecie, jak to się kończy.

I to jest właśnie to coś, co łączy wszystkich rodziców. Niezależnie od pochodzenia, orientacji seksualnej, od wieku, liczby dzieci, stylu wychowania czy sposobu karmienia. Absolutnie każdego rodzica dotyczy kurwość losu. Jeśli nie prędeży, to na pewno później przyjdzie mu się z nią zmierzyć.

Postanowiłam napisać tę książkę właśnie dla nas, rodziców. Ku pokrzepieniu serc. Żebyśmy w tych chwilach, w których nie wiadomo już, czy się śmiać, czy płakać, czy wystrzelić się w kosmos, potrafili jednak uśmiechnąć się pod nosem. Przypominając sobie, że to tylko nieszczęsna kurwość losu, a nie brak ogarnięcia, wszczepiony przez kosmitów magnes na rodzicielskie trudności czy spełniająca się przepowiednia zawistnej chujeżanki¹. To tylko kurwość losu! Chociaż jest całkowicie od nas niezależna, to my wybieramy, jak zareagujemy, kiedy już się pojawi. Ja osobiście polecam się pośmiać, chociaż płacz też jest jak najbardziej w porządku. To może płacz, a potem śmiech? Śmiech przez łzy? Cokolwiek wybieriecie, będzie okej!

¹ Chujeżanka – niby koleżanka, ale jednak... nie. Osoba, która często nas krytykuje, unieważnia uczucia innych lub na różne inne sposoby sprawia, że człowiek czuje się źle. A wszystko to pod przykrywką dbania o innych i oczywiście dobrych intencji.

A jeśli ktoś Was przyłapie na czytaniu tej kurwościowej książki i zarzuci Wam, że marnujecie czas na głupoty, to ja powiem, że czas poświęcony sobie, również na rozrywkę, to żadna głupota! Co więcej, rodzic nadal może czytać to, co chce. Nie tylko poradniki, podręczniki pisane przez specjalistów czy zbiory tych wszystkich zdań, których nigdy w życiu nie możesz powiedzieć do dziecka, bo z pewnością skisnie i znienawidzi Cię na zawsze. Będąc mamą czy tatą, nadal możesz czytać kryminały, fantastykę, romansidła powodujące wypieki na twarzy, a nawet komiksy z Kaczorem Donaldem. I o kurwości losu również możesz czytać.

Lektura tej książki jest wskazana z jeszcze jednego, ważnego powodu. Otóż zmiana myślenia o czynnikach generujących stres, nazywanie ich w inny sposób i/lub wyobrażanie sobie ich w mniej zagrażającym, a nawet zabawnym kontekście, mogą pomóc zredukować stres. Profesjonalnie nazywa się to przeformułowaniem oceny poznawczej. Pisze o tym między innymi światowej sławy psycholog, Philip Zimbardo, w swojej książce *Psychologia i życie*². Mam nadzieję, że czytając kolejne rozdziały mojego kurwościowego dzieła literackiego, złapiecie trochę tego zdrowego dystansu i innego spojrzenia na to, co trudne.

² R.J. Gerring, P.G. Zimbardo, *Psychologia i życie*, przeł. J. Radzicki et al., Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 410-411.

Dzisiaj, kiedy to czytacie, zapraszam Was w podróż po najciemniejszych i zarazem najzabawniejszych zakątkach rodzicielskiej codzienności. Teraz, gdy już to napisałam, czuję się przynajmniej jak Scully z *Archiwum X*! I podobnie jak Scully prześlę dla Was różne kurwościowe przypadki. Będę się opierać na własnych doświadczeniach oraz historiach zaczerpniętych z życia innych rodziców. Pojawią się tu więc cytaty opisujące przeróżne nieprawdopodobne zdarzenia. Będą opisy małych wzlotów i spektakularnych upadków. Trochę śmiechu, trochę łez i zero obciachu. Jeśli jeszcze nie jesteś rodzicem, nie przerażaj się! Sytuacje, które opisałam w tej książce, to wisienki ze szczytów rodzicielskich torcików, a nie całokształt życia rodzica. Tak czy siak można się uśmieć, trochę sobie powspółczuć, poczuć, że „nie tylko ja tak mam”.

Upprzedzam tylko, że ta książka zawiera przekleństwa. Jak to w życiu, raz „o jejku”, a raz „kurwa mać”. Istnieją badania dowodzące, że przeklinanie pomaga złagodzić ból, i jestem przekonana, że właśnie dlatego, kiedy upadniemy z powodu poślizgnięcia się na resztkę banana rzuconego przez malucha na podłogę, z naszych ust leci raczej siarczysty „kurwa” niż subtelne „jejuniu!”. Nie ściemniam, badanie opisał doktor Richard Stephens ze Szkoły Psychologii Uniwersytetu Keele w Wielkiej Brytanii³. Prowadził eksperyment, w którym studenci zanurzali dłoń w zimnej wodzie. Nie wdając się

³ <https://www.frontiersin.org/articles/10.3389/fpsyg.2020.00723/full>,
dostęp: 25.05.2021.

w szczegóły, jedni z nich w tym czasie przeklinali, drudzy wypowiadali inne słowa, niebędące przekleństwami. Jak pewnie sami się już domyślacie, ci przeklinający wytrzymali z ręką w lodzie nieco dłużej.

Mam wrażenie, że ta ręka zanurzona w lodzie spokojnie mogłaby być metaforą wielu chwil z rodzicielskiej codzienności. Być może Wam również pomoże przeklinanie. Albo pochodząca od przekleństwa żartobliwa nazwa „kurwość losu”, którą możecie nazwać sobie każdą wyprowadzającą Was z równowagi sytuację.

Czy opisane tu historie zdarzyły się naprawdę? Nie potwierdzam, ale też nie zaprzeczam. Przygotujcie popcorn i bierzcie się do czytania!



**Przyznajcie, tak z ręką na sercu,
czy udało Wam się pojechać
na wakacje z dziećmi
i faktycznie odpocząć?**

Bo mnie samej ten zaszczyt jeszcze nie kopnął. Być może dlatego, że dzieci mam małe i że na te wakacje zwykle wybieraliśmy się bez wsparcia w osobie babci czy innej ciotki. Oczywiście, gdyby to było możliwe, zabralibyśmy ze sobą przyczepę pełną specjalistek od animowania dziecięcego czasu, ale niestety było to daleko poza naszym zasięgiem.

Kto wie, może kiedyś się przekonam, jak to jest wypoczywać z dziećmi. Tymczasem doświadczenia mam zgoła inne i każdorazowo po wakacjach z dziećmi marzę o dodatkowym urlopie, żeby odpocząć. Problem w tym, że od bycia rodzicem zasadniczo nie można wziąć urlopu, jak również urlop macierzyński czy wychowawczy niewiele mają wspólnego z wakacjami.

Dlaczego więc jeździliśmy i wciąż jeździmy z maluchami na wczasy? Ano dlatego, że podczas takiego wyjazdu niby nie odpoczniesz jak dawniej, a jednak dwugodzinne usypianie w nosidle zawsze przyjemniejsze jest na plaży niż w salonie. Szum morza, zachód słońca i świeże powietrze zdecydowanie umilają ten czas, czego nie można powiedzieć o chodzeniu tam i z powrotem, od okna do drzwi wejściowych.

Mam wrażenie, że w ogóle rodzicielskie problemy, codzienne dylematy i trudne dziecięce emocje, jak również samo w sobie życie z dziećmi, są zwyczajnie łatwiejsze w innych niż zwykle okolicznościach przyrody. A jak gotować i sprzątać nie trzeba, to już w ogóle Malediwy. Zachęteni wizją tych Malediwów wybraliśmy się na pierwsze PRAWDZIWE rodzinne wakacje do... Krynicy Morskiej. Pierworodna nie miała wtedy jeszcze rodzeństwa. Sama bujała się na tym świecie dopiero dziesięć miesięcy.

Uznaliśmy, że trasa z Krakowa na drugi koniec Polski na pewno będzie przyjemniejsza i logistycznie łatwiejsza do pokonania, jeśli będziemy jechać w dzień, a nie na noc, tak jak zalecało jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent osób, z którymi o tym rozmawialiśmy. Ale nie, musieliśmy jechać z samego rana! Jebaniutcy nowicjusze. Z Krakowa nad morze. Aż samej mi siebie żal, kiedy o tym teraz piszę.

Jak było? Pewnie się domyślacie. Już na pierwszym rondzie dowiedzieliśmy się, że tak, nasza córka ma jednak chorobę lokomocyjną,

a wymioty w poprzednich, chociaż krótszych trasach, pokonywanych samochodem, to nie efekt przejeżdżenia czy przypadku. Co więcej, okazało się, że nasz piesio także wymiotuje na większych zakrętach. Być może rasa border collie nie nadaje się na takie wycieczki...

Jadąc nad to zasrane morze, utwierdziliśmy się milion razy w przekonaniu, że nasze dziecko faktycznie należy do tych bardziej wymagających i, jak widać, to nie mija z czasem. Jazdy samochodem nie lubiła już będąc noworodkiem. W aucie, zwłaszcza kiedy się zatrzymywało, rozlegał się donośny krzyk. Chyba że na pełnej petardzie jechaliśmy autostradą, oczywiście w porze drzemki. Dlaczego? Ano dlatego, że córka wcale nie zasypiała, siedząc w samochodowym foteliku. Próbowaliśmy natomiast za wszelką cenę się z niego wydostać.

Kiedy więc nadchodziła pora drzemki podczas naszej wyprawy nad morze, trzeba było zrobić postój. Mieliśmy ich całkiem sporo ze względu na wymioty pasażerów z tylnego siedzenia (ja byłam jedynym, który się nie porzygał, chociaż kilka razy ostro mnie ciągnęło) oraz ze względu na to nieszczęsne usypianie.

Zatrzymywaliśmy się na przykład na stacji benzynowej. Któreś z nas zakładało nosidło, wkładało w to nosidło Szeferkę (tę ksywkę nie bez powodu zyskała pierwsza córka jeszcze jako noworodek i tak już zostało) i dawaj, dookoła tej stacji. Jak chomik w kołowrotku, tylko wiatr we włosy wieje, jak się pogoda dobra trafi. Swoją drogą żałuję,

że nie korzystałam wtedy z Endomondo. Z pewnością pobijałabym jakiś rekord!

W pewnym momencie, jakieś trzy godziny przed dotarciem do celu, osiągnęliśmy szczyt załamania nerwowego. Ponieważ, serio, ŻADEN ze sposobów na zajęcie dziecka w trasie nie zadziałał. Zebraliśmy dość sporo pomysłów, dobrych rad, praktycznych rozwiązań. Tylko... one nic nie dały! Naprawdę nic nie było w stanie nas uratować. Naklejki, malowanki, lusterko, zabawki grająco-nielegalne. Aplikacje w telefonie, bajki dla dzieci od drugiego roku życia. Postoje co chwilę, zakazane przekąski. Łapaliśmy się wszystkiego. Kiedy już byliśmy gotowi wystrzelić się w kosmos, okazało się, że jest nadzieja. Czołówka z serialu *The Ranch* powodowała totalne skupienie u pierworodnej.

Tak więc ostatnie godziny jazdy upływały nam w rytmie zapętlonej piosenki z wyżej wymienionego serialu. Modliliśmy się tylko, żeby power bank do telefonu nie padł, zanim dojedziemy. Od tamtej pory już go więcej nie włączałam. Tego serialu. A wakacje? Pięć dni deszczu na siedem dni pobytu nad morzem. Klasyczna kurwość losu. Ale fajnie było i tak – zawsze lepiej niż wakacje w domu.

...

Jeśli pierwsza dłuższa podróż z dzieckiem jeszcze przed Wami, zaprawdę, powiadam Wam, jedźcie nocą. Serio!



HISTORIA EDYTY

Rok temu postanowiliśmy wybrać się w wakacyjną podróż z Warszawy do Chorwacji. Stwierdziliśmy, że będziemy jechać samochodem, a w trasę ruszymy późnym popołudniem. Zaopatrzyliśmy się w zapas energetyków, wybraliśmy punkty postojowe, wyznaczyliśmy z mężem zmiany za kierownicą. Pakowanie poszło nam wyjątkowo gładko. Dzieciaki – cała trójka – były nadzwyczaj współpracujące. Po około siedmiu godzinach jazdy, trzech zmianach pieluchy, dwóch karmieniach i trzech awariach spowodowanych chorobą lokomocyjną najstarszego syna dojechaliśmy do Wiednia. Wymęczeni pierwszym odcinkiem trasy postanowiliśmy zrobić naprawdę długą przerwę i spędzić noc w najbliższym napotkanym hotelu. Gdy już taki znaleźliśmy, mąż zadał w recepcji kluczowe dla naszej rodziny pytanie: czy w hotelu mogą przebywać też zwierzęta.

W tym momencie zorientowaliśmy się, że zapomnieliśmy zabrać psa. Został w mieszkaniu w Warszawie...